Rok 1937 14 marca Nr 11

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

JAK ŚWIAT DŁUGI...

Jak świat długi,
z każdej strony
skrzypią pługi,
skrzypią brony!

a nad rolą,
łanem pracy,
gdzie mozolą
się wieśniacy —

skowroneczki
przez dzień cały
wydzwaniają
swe hejnały! E. K.

Z przechadzek po „Zoo“

(Ciąg dalszy).

W sąsiedniej klatce siedzą inne małpy — t. zw. rezusy. Oprócz matek, są i małe, przytulone do swych rodzicielek, niby kurczątka pod skrzydłami kwoki. Na najmniejszy ruch ze strony widzów, który wydaje się im zagrażający dzieciom, podnoszą wielki wrzask, szczerzą zęby, skaczą, jak oszalałe i gotowe są do wszystkiego w obronie swych pociech. Zdarzyło się raz, że jeden z małych rezusów, prześlizgnąwszy się poprzez kraty, zawędrował do innej klatki, gdzie mieszkał znany ze swej złośliwości pawian. Małpa ta stale była w wojnie ze starszymi rezusami. Małego zbiega jednak przyjął pawian tak serdecznie i tak się do niego przywiązał, że później z wielkim zaledwie trudem zdołali dozorcy odebrać mu malca. W ogóle ród małpi, jak zresztą cały świat zwierzęcy, odznacza się nadzwyczajną miłością i poświęceniem dla swego potomstwa.

Poza wymienionymi, żyją w naszych zwierzyńcach jeszcze inne gatunki małp, jak pawiany, koczkodany, makaki, czarne jak murzyni ostrobrewki, znane magoty i t. d. Trudno natomiast utrzymać orangutany, a jeszcze trudniej goryle, wymagają one bowiem gorącego klimatu i łatwo giną poza swą ojczyzną.

Bardzo wesołymi są koczkodany o krótkich przednich kończynach a długich ogonach, barwnym futrze i niezmiernie śmiesznej twarzy, okolonej gęstymi bokobrodami. Na wolności w Afryce żyją w dużych gromadach pod wodzą najstarszego i najsilniejszego przedstawiciela swego rodu. Przebywają ciągle wśród koron drzew, tam się bawią, gonią i odpoczywają, a dla zdobycia pożywienia schodzą na pola kukurydziane, które rychło padają ofiarą ich apetytu. Są bardzo odważne i w razie niebezpieczeństwa grożącego jednemu, całe stado staje w obronie towarzysza.

Pawiany należą z powodu budowy swego ciała raczej do małp biegających po ziemi, niż skaczących po drzewach. Wygląd mają ciężki, są bardzo silne, a straszną ich broń stanowią mocne kły, których używają w walce z najdzikszymi nawet zwierzętami, jak lampart czy tygrys. Z usposobienia złe, podstępne, nawet choć oswojone, nie darzą w zwierzyńcu nikogo przyjaźnią. Słynna teraz od czasu wojny z Włochami, Abisynia

jest ich właściwą ojczyzną. Tam zaspakajają swoją żarłoczność, która nie gardzi zarówno owocami, jajami, jak i dużymi zwierzętami. Ozdobą ich, a może właśnie czymś, co nadaje tym stworzeniom wyraz grozy, jest obfity włosisty kołnierz, po którym łatwo odróżnić pawiana od innych małp.

Wspomniane wyżej kapucynki, żyją w Ameryce Południowej, głównie w Brazylii. W Europie, poza zwierzyńcami, widzieć je można u wędrujących kataryniarzy, którzy zresztą stali się już rzadkością i chyba tylko jeszcze po wsiach rzy wszędzie i zawsze rozpowszechniają swoje wstrętne nałogi.

Z pewnego rodzaju lękiem zbliżają się małoletni widzowie do klatki groźnych „kotów“, jak się to ogólnie nazywa lwy, tygrysy, lamparty i t. p. krwiożercze drapieżce. Mimo, że pochodzą one wszystkie z krajów gorących, męczą je latami nasze upały, jakie przeżywać muszą w klatkach, zamiast w gąszczach podzwrotnikowych lasów lub choćby w rozpadlinach skał, wśród pustyń piaszczystych. To też zwykle w porze gorącej leżą w swych więzieniach niezadowolone, znużone, obojętne zda się na wszystko, co się dokoła nich dzieje. Zwłaszcza lwy robią wrażenie na nic nieczułych, choć przecież bardzo często czytuje się w gazetach, że lew chwycił pazurami — po przez kratę — nieostrożnego śmiałka, który zbyt zaufał spokojowi zwierzęcia.



Białe niedźwiedzie polarne w Zoo warszawskim

i małych miasteczkach sprawiają uciechę dzieciom zarówno swoją muzyką jak i małpką, siedzącą zwykle na pudle kataryniki lub na ramieniu muzykanta. — W ojczyźnie swojej przebywają stale na drzewach i wraz z papugami napełniają powietrze swym wrzaskiem. Podobno — jak mówi jeden z przyrodników poznańskich — w niewoli staje się kapucynka smakoszem i... pijakiem, lubi kawę, herbatę, tabakę, wino — i wódkę. Oczywiście nie jest to jej winą, lecz ludzi, któ-

Jeden z gości odwiedzających ogród zoologiczny przyznaje się, że raczej na „króla zwierząt“ — pasowałby tygrysa o potężnych barkach, olbrzymich łapach

i drapieżnym spojrzeniu, niż spokojnego, zupełnie łagodnego z pozoru lwa. Ale jak wiadomo, lwa wyróżniono królewskim tytułem nie tylko dla jego mocy, wspaniałego z powodu grzywy (u samców) wyglądu i potężnego głosu, gdy rykiem napełnia pustynię, lecz także dla pewnego rodzaju szlachetności, której darmo by szukać u tygrysa, lamparta, czy innego wielkiego „kota".

Jeszcze większą dzikość i drapieżność przyznaje ów widz panterze, jaka niedawno wzbogaciła „zoo" warszawskie. Dotychczas na każdą próbę dozorcy wejścia choćby tylko do sąsiedniej klatki, zrywa się z miejsca, by potężnym susem skoczyć na pręty klatki odgradzające ją od upragnionej ofiary, na której wywarłaby całą swoją nienawiść i krwiożerczość, gdyby ją mogła dostać w swe pazury i zęby.

Do najciekawszych miejsc w każdym „zoo" należy obszar niedźwiedzi — a w szczególności niedźwiedzi białych czyli „polarnych". Brunatne bowiem lub czarne „misie" nie mają niczego nadzwyczajnego w warunkach swego życia w niewoli. Lodowate zaś ich krewniaki muszą mieć coś, co przypomina im choćby w drobnej części rodzinne morze, lodowatą wodę, śniegi i kry. Dlatego najlepiej czują się wtedy, gdy potężne nasze mrozy styczniowe skują ziemię w okrutne okowy, niby kędyś tam w ich ojczyźnie pod północnym czy południowym biegunem. Natomiast nie zależy im już chyba na tym, że tu w Polsce nie mają kilkumiesięcznej nocy ani podobnie długiego dnia; tym mniej jeszcze tęsknią za cudownym zjawiskiem zorzy polarnej, która w oniemienie i zachwyt wprawia podróżników i badaczy krain podbiegunowych.

We wszystkich większych „zoach" mają one zbudowany dla siebie wielki basen z wodą, którą w lecie sztucznie się oziębia. Mogą się w nim dowolnie kąpać, a w chwilach wyjścia „na ląd", który jest tam kamienny lub betonowy, wylegują się (nawet niekiedy w zimie do słońca), drzemią, albo dla rozrywki bawią się i siłują ze sobą, wspierając się na tylnych łapach. Pewien gość, który się tym siłaczom i ich zapasom przyglądał, zapewnia, iż odbywają się one o wiele kulturalniej, niż podobne walki zapaśnicze ludzi, które rzadko kiedy kończą się bez jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Czworonożni zapaśnicy zmierzyli bowiem tylko swoje siły i w zupełnej zgodzie się rozeszli, nie zachowując „w sercach" nienawiści do mocniejszych zwycięzców.

Najmilszymi jednak stworzeniami, cieszącymi się największą przyjaźnią ze strony gości, a zwłaszcza dzieci, są słonie. Poczciwe te olbrzymy przykuwają po prostu na całe godziny wzrok zwiedzających. Mają one w warszawskim „zoo" obok swego placu, oddzielonego od ludzi wcale nie nadzwyczajną przegrodą, także basen z wodą dla kąpieli.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wśród burzy na morzu

Ostatni okręt, jaki powiększył naszą flotę, to wspaniały statek, noszący nazwisko wielkiego króla naszego — Stefana Batorego. Po prostu nazywa się „Batory", jak znowu inny statek, podobny do niego wspaniałością i rozmiarami, nazywa się „Piłsudski".

Otóż „Batorym" odbywali niedawno daleką podróż do Ameryki znani w Polsce księża misjonarze „Oblaci Niepokalanej". Warto zapoznać się z opisem przeżywanej przez nich na okręcie potwornej burzy, jakiej nie zaznali nawet starzy „wilcy morscy" w ciągu 10-letniej służby w marynarce.

Wyruszono z Gdyni przed południem. Ryk syren okrętowych stanowił pożegnanie okrętu i jadących na nim ludzi z lądem, ze smugą ziemi ojczystego kraju. Młodzi kapłani przestali na pokładzie statku do samej północy, wpatrzeni w coraz bardziej oddalające się światła gdyń-

skiego portu. Dopiero, gdy im znikły z oczu zupełnie, odeszli do kajut na zasłużony spoczynek.

W ciągu dwu dni pogoda sprzyjała podróży, to też wszyscy czuli się doskonale, pełni zdrowia i humoru. Dopiero kiedy minięto skaliste brzegi Szkocji, morze zaczęło się „rzucać“ — według wyrażenia jednego z księży. Goście opuścili jadalnię i pouciekali do swych kajut, kryjąc się z ogarniającą ich coraz bardziej morską chorobą. Minęło tak dni parę i wszyscy pocieszali się, że już najgorsze minęło. Tym czasem owo „najgorsze“ czyhało na nich dopiero w całej swej grozie.

Mieliśmy nieraz wrażenie — opowiada jeden z misjonarzy — że jesteśmy w Karpatach — fale bowiem sięgały do 35 metrów wysokości. Wraz z kapelanem i lekarzem okrętowym mogliśmy z kajuty oficerskiej obserwować rozhukane morze. Owe góry fal, jakie co chwila wyrastały dokoła okrętu, „Batory“ albo przebijał, albo wspinał się na ich spienione grzbiety. Niekiedy stawał po prostu dęba, a wtedy zachodziła obawa, że się złamie przez pół. W takich chwilach okręt właściwie stał w miejscu, walcząc tylko z potęgą rozwścieczonych dokoła fal. Kapitan prowadzący statek, przetrwał na swym posterunku 36 godzin bez zmrużenia oka. Sternik zaś pracował nad tym, by okręt utrzymywać ciągle dzióbem do fal, w przeciwnym bowiem razie statek byłby legł na boki. Nigdy — pisze ów misjonarz — nie przypuszczaliśmy, by nasz „Batory“ był zdolny tańczyć tak, jak fale zagrają“.

A właśnie ten wytrwały taniec wśród oszalałych wściekłością bałwanów był świadectwem siły naszego okrętu, jak i najwspanialszym dowodem znakomitego wyszkolenia naszych marynarzy.

Po uciszeniu się burzy pasażerowie poszli obejrzeć wyrządzone przez nią szkody. Na czubie okrętu żelastwo było skręcone i powyginane na wzór cienkiego drutu, zaś po kotwicy stanowiącej olbrzymi ciężar nie było śladu. Wytargały ją fale i zatopiły w głębinach. Wraz z nią zginęło 100 metrów łańcucha, na którym była przypięta.

Jakże dosadnie maluje ten króciutki opis przerażającą potęgę żywiołu morskiego.

Oi-Ot.

Dzwonnik Kacper Dławiduda

(Dokończenie)

V.

Łzy gorące, łzy serdeczne
Gryzą oczy jak tabaka,
Gdy przypomni Dławiduda
Swego syna jedynaka.

W nieświęconej kędyś ziemi
Młody Kacper śni na wieki,
Nawet wieści o poległym
Nie przyniesie wiatr daleki.

Wygasł na nim ród sławetny,
Ród dzwonników taki stary —
Już nie będzie Dławiduda
U warszawskiej dzwonić Fary.

Myśląc o tym, bardziej żółknie,
Bardziej dziad się zdaje chudy;
Nie zadzwoni Dławiduda
Na pogrzebie Dławidudy...

VI.

Gdy się zamknie w swej izdebce
Stary Kacper Dławiduda,
Drzemiącemu dzwonnikowi
Jakieś dziwne śnią się cuda.

Słyszy śpiewy archanielskie
I niebieskich dzwonów bicie.
Za ich pieśnią uroczystą,
Zda się — płynie po błękicie.

Zda się płynie po błękicie
Aż do nieba Kacper stary,
Gdzie syn jego jest dzwonnikiem
U anielskiej owej Fary...

I gorąco dziad się modli
Wśród tych marzeń, wśród tych cudów
By na wieki było w niebie
Dwóch dzwonników Dławidudów...